

JERZY KURCZAB

ur. 1937; Równe



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Projekt Lublin. Opowieść o mieście, Lublin, II wojna światowa, ulica Kalinowszczyzna

Zabawy z okresu dzieciństwa

Był letni dzień, chodziłem sobie i się nudziłem. Przyszła burza ze straszną ulewą. Po tej ulewie znowu zrobiło się ciepło, zaświeciło słońce. Woda, której było sporo, spływała sobie rynsztokami na ulicy Kalinowszczyzna. Chodziłem boso po tej zalanej i utwardzonej kocimi łbami ulicy, moczyłem nogi, puszczałem stateczki, listki i patrzyłem jak one sobie pływały w tym rynsztoku. Nagle świat mi się skończył. Wpadłem do kanału. Okazało się, że trafiłem nogą w otwarty kanał burzowy zakryty wodą. Musiałem trochę napić się tej wody rynsztokowej. W jakiś sposób wydostałem się z tego kanału, otrząsnąłem się i ociekający wodą z rykiem pobiegłem, na szczęście miałem blisko, do mamy. Opowiedziałem jej co się stało. Zdarła ze mnie ubranie, wyszorowała mnie dokładnie, wyplukala mi usta. Była obawa przed zarazkami, przecież wiadomo, co w rynsztokach się dzieje. I tak skończyła się przygoda z szukaniem sobie zajęcia po burzy na ulicy Kalinowszczyzna.

Miałem zrobioną hulajnogę. Ojciec mnie i mojemu bratu zrobił hulajnogę z drewnianej deseczki, do której z przodu i z tyłu były przyczepione ośki. Na nich umocowane były cztery kółka z żelaznymi łożyskami kulkowymi średnicy pięciu może sześciu centymetrów. Deska pozioma z pionową były połączone skórą i musiała też być kierownica. Robiło to dużo hałasu jak jeździło się po nierównych chodnikach. Ale była to rozrywka.

Kolejną zabawą, którą pamiętam do dzisiaj, było jeżdżenie po ulicy z fajerką. Brało się starą fajerkę z kuchni, z drutu robiło się specjalnie zaokrągloną prowadnicę długą. Fajerkę pchało się tą prowadnicą.

W zimie jeździło się na sankach zrobionych przez ojca. Nie było wtedy sklepów sportowych, gdzie można byłoby je kupić. Po latach nieraz tak sobie myślę, ileż tacy ojcowie w czasie okupacji mieli kłopotów ze swoimi dziećmi, żeby jakoś przeżyć, jakoś poza pracą zawodową i obowiązkami rodzinnymi, tym dzieciakom sprawić przyjemność. Sanki były na blachach. Kłopot polegał na tym, że blachy musiały być w jakiś sposób przytwierdzone do płoz, więc użyto gwoździ, które musiały być

odpowiednio zagłębione, żeby nie zadzierały śniegu. Inaczej poślizg był słaby. Główki tych gwoździ należało wbić głęboko żeby stawały jak najmniejszy opór. To z kolei często rdzewiało, blachy się odrywały, ale można było na tych sankach jeździć. Przeważnie zjeżdżaliśmy z obecnej ulicy Turystycznej. Rzeźnia stoi na wzniesieniu, a im bliżej było skrzyżowania i mostu tym spadek był większy. Na ulicy prowadzącej na cmentarz, za kościołem, również jeździło się na sankach.

Pamiętam, że dużo rysowałem, uczyłem się pisać. Ojciec przynosił z rzeźni stare, chyba ponemieckie księgi, pisane ładnym pismem niemieckim. Jak się nudziłem to wodziłem ołówkiem naśladować to pismo i tak uczyłem się pisać literkę „A”.

Kiedyś ojciec bardzo mnie rozczarował. Była wiosenna, przyjemna niedziela, powiedział, że jedziemy na wyścigi. Jakaż to była radość, że gdzieś poza Kalinowszczyznę się ruszymy, że zobaczę konie. A ojciec przyniósł arkusiki z wylanymi na tych arkusikach paseczkami siarki czy czegoś. Wyścig polegał na tym, że trzeba było jednocześnie, dwóch czy trzech zawodników, zapalić zapałką początek paseczka siarki. Wygrywał ten, którego pasek pierwszy się wypalił. Miałem duży żal do ojca, że zamiast jechać na wyścigi to urządził coś takiego.

Data i miejsce nagrania	2013-07-26, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Łukasz Kijek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"